PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 24. *Warszawa, 13 czerwca 1914.* Widok 3.

Jagiełło — i Biniszkiewicz.

1.

Jagiełło i Biniszkiewicz: z tych dwu ludzi pierwszy tylko jest całej Polsce znany; nie przeto, iż królewskim jest imiennikiem, ale, że nazwisko jego do wszystkich uszu doniosło echo skandalu, ta najskorsza poczta, przed którą wszystkie otwierają się drzwi. Drugi nie korzysta z protekcji tak przemożnej; zaleca go uwadze Polski jedynie praca, a wiadomo, jak skromnymi rekomendacjami służyć może u nas praca, choćby najowocniejsza; więc znany jest tylko tam, dokąd dociera wpływem osobistym, dokąd sięga ramieniem samotnym: na własnym warsztacie, we własnym obwodzie Opolskim, — na Górnym Ślązku.

A przecież przed oczyma każdego Polaka, który nad losami ojczyzny się zastanawia, a zwłaszcza nad tą częścią społeczeństwa, z którą wiąże się przyszłość polska, przed oczyma każdego Polaka oba te nazwiska równymi gorzeć powinny głoskami, jak dwa wymowne drogowskazy. Albowiem po przez te dwa nazwiska przełamują się dwie olbrzymie, równej doniosłości, sprawy. Każde z nich ma znaczenie reprezentacyjne i symboliczne. Każde z nich jest ujściem wielkiej rzeki społecznego procesu. Stając na dwu przeciwnych sobie biegunach, oba znaczą etapy końcowe, u jakich zatrzymały się w rozwoju dwa zasadnicze prądy socjalizmu polskiego.

2.

Przyjrzyjmy się tym dwu zdumiewającym postaciom. Jagiełło zasiada, jako «poseł Warszawy» w Dumie petersburskiej; Biniszkiewicz jest redaktorem *Dziennika Robotniczego* w Katowicach. Obaj, od strony zewnętrznej oglądani, służą jednej idei; jednej są wyznawcami religji. Obaj zwiastują ludowi roboczemu ewangelję wyzwolenia przez walkę, ewangelję spisaną przez Marksa, podaną do wierzenia przez Bebla i Liebknechta.

Na tej wspólnej atoli podstawie wierzeniowej, jakże różne, niepodobne do siebie, powstały dwa kościoły wojujące!

Socjalizm Biniszkiewicza walczy z burżuazją, ale nie chce wojny z narodem polskim. Poprzez walkę z burżuazją pragnie lud roboczy pojednać z ojczyzną.

Socjalizm Jagiełły walczy nie przeciwko burżuazji, ale przeciwko narodowi polskiemu. Burżuazję zwalcza jedynie o tyle, o ile stanowi ona część narodu polskiego.

W wyniku walki, jaką socjalizm Biniszkiewicza toczy z burżuazją, osiąga korzyść naród polski: rozszerza się ojczyzna.

W wyniku walki, jaką socjalizm Jagiełły toczy z narodem polskim, korzyść osiąga burżuazja obca: ojczyzna się kurczy.

3.

Wyliczmy wrogów obozu Biniszkiewicza:

I. Imperjalizm hakatyzmu pruskiego.

II. Imperjalizm socjal-demokracji niemieckiej (socjal-hakatyści).

III. Konserwatyzm i ugodowość burżuazji polskiej.

Czyli: wszystkie trzy wrogie żywioły, zwalczające socjalizm Biniszkiewicza, są zarazem wrogami, z którymi tak lub inaczej walczyć musi o byt i rozwój naród polski i kultura polska.

Wyliczmy sprzymierzeńców socjalizmu Jagiełły:

I. Burżuazja żydowska.

II. Proletarjat żydowski (Bund).

III. Inteligencja polska, uzależniona ekonomicznie od Żydów.

IV. Imperjalizm socjal-demokracji rosyjskiej.

Czyli prawie wszystkie żywioły, popierające socjalizm Jagiełły, są wrogami, z którymi tak lub inaczej walczyć musi naród polski.

4.

Jakież rażące złowrogim kontrastem światło tryska z powyższego zestawienia na plac boju obu wojujących obozów, na rozkład i ugrupowania obustronne ich sił! Sprzymierzeńcy Jagiełły, przeniesieni na ziemię zaboru pruskiego, niemal bez reszty powiększyliby zastęp przeciwników socjalizmu Biniszkiewicza. Wrogowie tego ostatniego, naodwrót, wyłoniliby zapewne wcale pokaźne zasiłki dla socjalizmu Jagiełły.

Uniwersalizm socjalizmu, jego wszechświatowość i powszechność, skonała bezpowrotnie.

5.

Nazwaliśmy powyżej obóz Jagiełły obozem wojującym; ale słuszniejby należało go nazwać obozem pasorzytującym: tak dalece zanikły w nim pierwiastki samorzutności i walki, tak wyłącznie w nim rozwielmożniły się popędy żerowania i wyzysku. Postępowanie jego tak małodusznie wzięło kierunek wzdłuż linji najsłabszego oporu, że raczej pełzanie robactwa przypomina, niźli pochód zbuntowanych ludzi. Czyż sam Jagiełło, jako «poseł Warszawy» nie narodził się ze skrzyżowania dwóch pasorzytniczych procesów, na polskim żerujących organiźmie narodowym? Wyniosła go z jednej strony burżuazja żydowska, która, śród wszystkich burżuazji świata, najmniej ma związku z wytwórczością, opierając byt swój wyłącznie prawie na organizacji krążenia i podziału bogactw; z drugiej zaś strony wsparła go ta garść proletarjatu polskiego (na szczęście garść znikoma) która nie czując w sobie sił do podjęcia odpowiedzialności za naród cały, dość jednak czuje w sobie egoizmu, by cały naród uważać za pastwę dla siebie, za kęs łakomy dla klasowego głodu.

Jagiełło (mamy tu, oczywiście, na myśli nie osobę, lecz kierunek przez nią przedstawiany) to — już nie zdobywczość, wyzywająca wrogów istotnych i groźnych; to — nie walka nieprzejednana z potęgą istotnego zła: to jest już tylko żarłoczność, najtańszym kosztem poszukująca łupu, gotowa gniazdo swe uwić choćby w trzewiach rozrąbanej mogiły, byle w tym gnieździe było bezpiecznie i syto!

Jagiełło jest żywym symbolem. Waga jego nie na nim polega, ale na tej treści sił i dążności zbiorowych, które się poprzezeń wypowiedziały.

Wybór Jagiełły, bez wątpienia, był manifestem, ale nie był to manifest wiary ludu roboczego, ani manifest idei: był to **manifest apetytu.**

6.

A, na domiar, był to manifest potrójnego kłamstwa.

Albowiem wszędzie indziej utożsamienie burżuazji z państwem może mieć znamiona słuszności: w Polsce — jest kłamstwem.

Wszędzie indziej utożsamienie państwa z narodem może być prawdą: w Polsce — jest kłamstwem.

Wszędzie indziej wrogość i przeciwieństwo interesów między narodem a rzeszą ludu roboczego może być bezwzględnikiem: w Polsce — jest kłamstwem.

Te trzy kłamstwa określają strategję Jagiełły. Są koordynatami jego bojowej postawy.

Wychodząc z równania: *burżuazja = państwo = naród*, trzy kłamstwa powyższe pozwalają mu potrójnie naród własny atakować. Raz, jako burżuazję; powtóre, jako państwo; po trzecie, jako zaprzeczenie wszechproletarjackiej beznarodowości.

Z narodu przeto, jako z generalnego dłużnika, socjalizm Jagiełły egzekwuje na

rzecz proletarjatu potrójne koszta: naprzód koszta regime'u rządowego, srogie koszta stanów wojennych, sądów polowych i wypraw karnych; powtóre ściąga koszta wyzysku pracy przez kapitał; po trzecie zaś, egzekwuje z tegoż narodu polskiego koszta militaryzmu, będącego wynikiem współzawodnictwa państw i narodów europejskich.

Te wszystkie koszta socjalizm Jagiełły radby brać z narodu polskiego, nie dlatego, iżby naród nasz istotnym był dłużnikiem i winowajcą; ani dlatego, iżby wyjątkowo i przesadnie był zasobny w dobra, nie! Naród polski ze wszystkich narodów europejskich jest najbardziej proletarjackim narodem. Jest proletarjuszem świata. Na rynku świata nic prawie nie ma do sprzedania, prócz ciała i krwi swoich dzieci. Więc nie dlatego socjalizm Jagiełły sięga po dobytek ojczyźniany, iżby on był suty i bogaty, ale, że widzi, iż ojczyzna jest słaba i bezradna; przewiduje, że łup nie będzie obfity, ale ocenia, iż będzie — pewny.

A zresztą, gdyby nawet Polskę całą z jej historyczną przeszłością i z jej wymarzoną przyszłością wypadło zlikwidować, to socjalizm Jagiełły przed koniecznością taką nie drgnie, nie zmruży oka: starczy mu zimnej krwi, by ojczyznę puścić na licytację. Wie nawet, jak się to robi. Nie darmo Jagiełło terminował w szkole Grosserów i Mendelsonów. Oni i ich towarzysze wiedzieli i wiedzą, jak się robi licytację. Oniby nawet znaleźli dobrych kupców. Kto wie, możeby sami stanęli do licytacji. Wszak Wisła, wedle słów Asza, jest rzeką, która do Polaka mówi po polsku, ale do Żyda mówiłaby — po żydowsku.

Otośmy stanęli na ostatnim szczeblu rozwojowym tej odmiany socjalizmu, która za sztandar swój ma czoło Jagiełły. Szczebel ten jest jakby linją podkreślającą pozycję, z której znikają wszelkie perspektywy walki i opozycji bezwzględnej przeciw siłom istotnie wyższym, otwierają się natomiast widoki tranzakcji i spółek handlowych, zawieranych na podłożu pasorzytnictwa i abdykacji z zadań zasadniczych.

7.

Jakże odmienną drogą w przyszłość kroczy socjalizm Biniszkiewicza! W osobie Biniszkiewicza socjalizm polski oezyskuje tę drogę powrotu do ojczyzny, którą tak ostatecznie, na gruncie Królestwa, zatracił w osobie Jagiełły.

Jagiełło jest wyobrażeniem zwrotu w socjaliźmie w stronę najsłabszego oporu, Biniszkiewicz wyobraża pochód ludu roboczego po linji oporu najtrudniejszej.

Nie znamy dzisiaj, na obszarze całej Polski, która jest przecież cała pobojowiskiem, areny krwawszej, niźli ta, na której stacza od lat kilku boje z nawałą pangermanizmu Biniszkiewicz.

I jednocześnie nie znamy placówki, którąby równie, jak placówka Biniszkiewicza, była upośledzona przez uwagę i opinję ogółu polskiego. Niestety, Katowice leżą zbyt blizko nas, aby stanowić miały przedmiot egzotycznego zaciekawienia; a jednocześnie leżą zbyt daleko, by można było tu, w ścianach Warszawy, posłyszeć stłumiony jęk prastarej piastowskiej ziemi, na której około miljona ludu polskiego, wydziedziczonego z praw własności, dorabia naród obcy, kulturę obcą, gospodarkę obcą, system wreszcie obcego nad sobą władania i ucisku.

8.

Gdyśmy tu, na łamach *Prawdy*, w serji artykułów Czesława Jankowskiego podjęli myśl rewizji stosunku naszego do kresów, pod groźbą faktu, że rysuje się i rozluźnia ośrodek etnograficzny, że ośrodek ten jest zagrożony i przedewszystkim nagłego wymaga ratunku w postaci skupienia sił wszystkich na ojcowiźnie pralechickiej: zakrzyczano nas frazesem optymistycznym, buńczucznie a ślepo szafowanym z wysokiego konia rzekomej nieustępliwości. A tymczasem... tuż pod bokiem, tuż u drzwi Królestwa i niemal przed wrotami Krakowa, rozstrzyga się los polskiej miljonowej rzeszy, rzeszy, która jest krwią z krwi i kością z kości piastowskiej, rozstrzyga się śmiertelna między Polską a Niemcami sprawa o to, czy nowy miljon ludu polskiego pójdzie na dno niemieckiego morza, aby zasilić je raz jeszcze ku tym pewniejszej zagładzie reszty zachodnich dziedzin Polski, czy też ostoi się na ojcowiźnie historycznej, i napór Niemców odeprze: a rozstrzyga się w zupełnej powszechnego zobojętnienia głuchocie! Nie mówiąc już

o jakichkolwiek zasiłkach natury ekonomicznej bądź duchowej, uwagi nawet ogół polski skąpi tej niepomiernie rozpaczliwej walce. Na myśl, że jeden szlachcic zagrodę mógłby zwinąć na błotach pińskich, zadrżały zgrozą serca wszystkich strażnic kresowych, ale widok niechybnej zatraty, nad miljonem chłopów polskich zawieszonej, nie wywoła w sercu niczyim ani jednego drgnienia!

9.

Socjalizm polski w zaborze pruskim począł się krzewić od roku 1890 i od razu zogniskował główne swe siły na Górnym Sląsku, zwłaszcza w obwodzie Opolskim. Obwód ten, należący do okolic najbardziej w państwie Pruskim fabrycznych, zajmuje zarazem pierwsze miejsce w tym państwie pod względem przewagi liczebnej Polaków. Według danych urzędowych z 1,900,000 ogółu mieszkańców tego obwodu przyznało się do narodowości polskiej 1,158,000 osób. Ta ludność polska, pod względem społecznym, jest zupełnie jednolita. Polakami są wyłącznie chłopi lub robotnicy. Całe t. zw. wyzsze klasy społeczne, olbrzymia większość inteligencji, kapitaliści, dziedzice dóbr ziemskich — wszystko to niemieckie. Dawna szlachta polska zniemczyła się w Opolskim zupełnie, stopniowo jednocześnie wyzuwając się z ziemi.

Ponieważ lud był polski, burżuazja zaś była niemiecka, tedy socjalizm, budząc i podnosząc lud, budził i podnosił polskość. Towarzysze niemieccy szli ręka w rękę z towarzyszami polskimi, zasilając ich partyjne kasy, wspólnymi siłami przeprowadzając kandydatów robotniczych do parlamentu, wreszcie podtrzymując materjalnie byt socjalistycznej polskiej *Gazety Robotniczej*, wychodzącej 3 razy tygodniowo w Katowicach. Niedługo wszakże trwać miała ta sielanka harmonji. Socjaldemokracja niemiecka, która zrazu sprawowała nad polskim ruchem robotniczym opiekę, niebawem zeczęła ruchowi temu ciężyć. Już w roku 1902 harmonja uległa zamąceniu o tyle, że obie partje stawiały kandydatury poselskie odzielnie. Gdy zaś ruch śród rzeszy polskiej wzmógł się na tyle, że zaszła potrzeba stworzenia prasy codziennej, *Parteivorsand*, przestraszony widmem «niebezpieczeństwa polskiego», nie dał zgody swej na przemianowanie *Gazety Robotniczej* na dziennik, zagroził cofnięciem zasiłku i — groźbę wykonał. Wówczas dla każdego robotnika polskiego na Slązku stało się rzeczą widoczną, że dni zgody i braterstwa z Niemcami są policzone. Istotnie, nadszedł zjazd Jenajski (1913), a na nim nastąpić miał już nieodwołanie stanowczy rozłam.

Proletarjat polski znalazł się od owej chwili sam jeden w obliczu spiętrzonej fali germańskiej. Zrozumiał, co miało znaczyć hasło braterstwa wszech proletarjatów: miało znaczyć roztopienie się żywiołu polskiego w potężnej organizacji niemieckiej. Zrozumiał, że owe wspaniałomyślne zasiłki, którymi go darzono, miały stać się żołdem jego hańby, nagrodą jego zaprzaństwa; że za cenę żołdu partyjnego chciano mu zrabować język ojczysty i duszę ojczyźnianą, chciano wyłupić zeń serce polskie i krew w nim polską w obce roztętnić rytmy.

Duszą tego rozumienia i odczucia stał się Biniszkiewicz. Jego zapałem lud natchnięty z groszowych składek krwawicy powołał do życia upragniony własny *Dziennik*, który od pierwszych numerów grzmieć począł przeciwko zjednoczonej hakacie pruskiej żandarma, junkra i socjal-demokraty. Z trójcy owej, która Polakom wydała bój śmiertelny, bynajmniej nie socjal-demokrata jest dla Polaka najmniej groźny. Owszem, zdaniem Biniszkiewicza, jest on niebezpieczniejszy od junkra i żandarma: tamci bowiem godzą w pierś polską z otwartą przyłbicą, gdy socjal-demokrata godzi bronią skrytobojczą.

10.

Oto kontrast dwu końcowych wyników: dwaj ludzie, dwa typy socjalizmu, rzekłbyś — dwa bieguny!

Jagiełło i Biniszkiewicz.

Dla jednego idea narodowa stała się przedmiotem tranzakcji; dla drugiego stała się twierdzą, w której okopach, jak w okopach Zbaraża, niema miejsca na kompromis, niema miejsca na rozpacz, choć równie mała istnieje nadzieja odsieczy.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Niedole endecji. II. Ostatni wystrzał.

I. Przyszły na endecję bardzo ciężkie czasy; klęska wali się po klęsce. Niechaj nam antagonizmy partyjne nie zatwardzają serca; użalmy się nad jej niedolą. I endecy są ludzie. Postawmy się jeno w ich położeniu i przypomnijmy, jak ciężko los doświadczał ich w ostatnim czasie. Nie sięgam już do tak odległej przeszłości, jak wybory warszawskie, które wprawdzie stwierdziły niepopularność pana Dmowskiego, lecz równocześnie przez dziwne szczęście w nieszczęściu, dzięki jeszcze większej niepopularności zwycięzcy, pozwoliły mu się odegrać na kwestji żydowskiej. Gorzej poszło w Galicji, gdzie wszelka chęć unurzania w błocie przeciwników skończyła się na tem, że się samemu w jaknajgorsze grzęzło trzęsawisko. Już, już zdawało się, że endecja wystąpi tam w roli apostoła moralności publicznej przez napiętnowanie Stapińskiego, aliści okazało się, że narzędzia jej intrygi zupełnie nie nadają się do przyświecania wzorem cnoty obywatelskiej, a co gorsza, w momencie największego ferworu kaznodziejskiego, zaskoczył ją publiczny obrachunek skarbu Raperswylskiego i widmo własnych grzechów starannie zagrzebanych w piasek zapomnienia.

Nie dając odpowiedzi na wielce drażliwe interpelacje: *«Redde quod debes»* spróbowano zmienić temat rozmowy i wszczęto wielką dyskusję o masonach, która wprawdzie nikogo nie porwała, ale pokłóciła endeków z konserwatystami i naraziła p. Dmowskiego na to, że go nikt w Krakowie nie był ciekaw posłuchać i poproszono, by sobie oszczędził kosztów podróży do tego miasta. Na dobitek w Wiedniu były do wzięcia jakieś teki i galicyjscy przyjaciele polskiego Taxila mocno byli rozgoryczeni, że jego polityka zachodniego frontu zagradza im drogę do tych ponętnych specjałów. Trzeba było głowę sobie suszyć nad taką sztuczną dwusiecznością stronnictwa, żeby mu zapewnić dwa fronty, zrobić zeń niby dartego kruka, z jednym okiem zerkającym i dziobem otwartym w stronę Dunaju, a drugim w stronę Newy. — Oba dzioby jednak pozostały puste...

Petersburg zawiódł — bardzo drogo okupione nadzieje, Wiedeń nie pocieszył, a Kraków dał w skórę przy wyborach do Rady Miejskiej. — «Djabeł w nędzy muchy łyka» mówi niemieckie przysłowie. Endecja niedolą przyciśnięta zaczęła się oglądać za muchą.

Czemś trzeba przecież nęcić rzesze, by nie zostać zupełnie osamotnionym, na czemś trzeba wypłynąć, by się nawet wśród takich ciosów utrzymać na powierzchni!

Endecja nie może pogrążyć się w zapomnieniu.

Pasem ratunkowym stała się dla niej — Wystawa Krajowa.

Nie stało samorządu, w niej się teraz skupi rzeczywisty interes narodowy. Wystawa będzie polska, szczerze, niewątpliwie polska, mówi, p. Dmowski. Kto nie chce polskiej wystawy, ten oczywiście nie jest prawdziwym Polakiem; może nawet jest pachołkiem żydowskim, lub zamaskowanym masonem.

Wprawdzie ludzie wtajemniczeni w sprawy przemysłu twierdzą, że na prędce, sobotnim ściegiem na niedzielny targ, można tylko urządzić wystawę tandetną, i nie będzie to chlubą jeno kompromitacją, jeśli to będzie szczerze polska tandeta. Któżby jednak zważał na takie drobnostkowe względy; chodzi przeciez o *Dwugroszową* wystawę, o coś takiego, coby prenumeratorom brukowego pisemka dało jaką satysfakcję i odszkodowanie za pilne i sumienne odczytywanie monotonnych elukubracji endeckich o dobrodziejstwach «władzy». Dobre to na jakiś czas, ale w końcu się przejeść musi. Więcej jednak chodzi o to, by dobrana kompanja pana Dmowskiego mogła się zabawić choć w jakieś podobieństwo publicznej akcji, by nie mogąc zasiąść foteli radzieckich, rozparła się choć na ławie różnych komitetów i stąd rozprzestrzeniała swe wpływy, protekcje, łaski i niełaski.

Nie brakło i dotąd endeków w rozmaitych zarządach i prezydjach. Smutne jednak doświadczenia wykazały, że zaszczycone ich protekcją instytucje niezbyt świetne na niej robiły interesy.

Gospodarka kaperswylska nie była unikatem w dziejach. Raz po raz wypływają fakty świadczące, ze jakiś pech ściga matadorów tego stronnictwa ile razy zarządzają groszem publicznym, do czego zresztą ciągnie ich niepochamowana żyłka. Nie mają szczęścia w rachunkach mimo wrodzonego do nich pociągu. Wszędy ściga ich... deficyt.

II. Ostatni wystrzał polemiczny przeciwko artykułom p. Czesława Jankowskiego, nawołującym do opuszczenia «kresów» celem wzmocnienia etnograficznego «jądra» Polski, rozległ się na łamach *Świata*. Mamy tu na myśli obszerny artykuł znanego historyka p. S. Smolki, który usiłuje oprzeć swój gorący protest przeciwko odwrotowi i wyrzekaniu się praw do kresów na bardzo śmiałej zasadzie: mianowicie, twierdzi on, że przetwarzanie się ludzi innej narodowości na polską jest chwałą, natomiast odwrotne przedzierzganie się Polaków jest hańbą. A to dlatego: «Anglik, Szwed, Włoch nie wyzbywa się swej narodowości, by mnożyć zastępy nieprzyjaciół» (co robią odstępcy polscy. Powtóre, Niemcy z końca XVIII i początku XIX w. przemieniając się na Polaków, otrzymywali od Polski, wyższy ustrój duchowy,

aspiracje «godne człowieka». Oni uciekali «nie z pod sztandaru, lecz z pod kapralskiego landsztoka», tymczasem «polscy renegaci opuszczają szrandar patrjotyczny, pobryzgany ofiarną krwią ojców i dziadów, by za bezdźwięczną pobudką wskazań genealogicznych przejść do nieprzyjacielskich zastępów». Znany pisarz i obywatel, Szwed spolszczony W. hr. Engeström mówił: Możebym teraz czuł się Szwedem, gdyby Polska była wolna; tak, jak jest, to byłaby przecie podłość». To pan Smolka nazywa «zgodnym rytmem serca i rozumu», i to jest według niego formuła, usuwająca wszelkie trudności i rozwiązująca zagadnienia we wszelkich jego postaciach.

Tę formułę nazywa *Humanista Polski*, organ Al. Świętochowskiego, teorją dwu miar. Jako takiej, nie odmawia teorji powyższej pewnej słuszności: «Istotnie — czytamy w *Humaniście* — przechrzta polityczny wyrządza swemu nieszczęśliwemu społeczeństwu większą lub mniejszą szkodę, szczęśliwemu — nie wyrządza prawie żadnej. Inną również posiada on wartość, przechodząc na stronę niedoli i niemocy, a inną, przechodząc na stronę dostatku i siły. Każdy cudzoziemiec, zostawszy Polakiem, może wiele stracić, a nic zyskać, oprócz spółudziału w smutnej doli. Pomimo jednak tej różnicy, niepodobna brać jej bezwzględnie i twierdzić, że owa przemiana w każdym wypadku jest szczytna, gdy się dokonywa na naszą korzyść, a nizka, gdy na cudzą. Bo musimy innym narodom pozostawić sąd o tych synach, którzy ich się wyrzekają. Nadto p. Smolka nie trafia w sedno rzeczy. Nie chodzi tu głównie o kilka jednostek, które poczuwszy w sobie szczery czy udany głos odległej przeszłości, odrywają się od pnia ojców i usiłują przyrość do pnia pradziadów: kilka tego rodzaju wypadków na Litwie i Rusi nie posiada większego znaczenia; ale chodzi o to, jak w obecnych warunkach ma się zachowywać całe społeczeństwo polskie i jego odrośle wobec kresów?»

Niestety tego pytania nikt nie podejmuje, mimo że w nim tylko tkwi cała doniosłość kwestji. W artykule wstępnym, mówiąc o walce rozgrywającej się na Górnym Slązku, wskazaliśmy mimochodem, ile obłudy i samookłamywania kryje się na dnie tej mniemanej nieustąpliwości, która z okrzykiem: ani piędzi ziemi! oddaje w ręce obce całe dziedziny ojcowizny.

Rys owej obłudy przebija i z artykułu p. Smolki. Ale jest w artykule tym i rzecz jeszcze gorsza: apoteoza cierpiętnictwa. Przekonanie, że sam nimb tej niedoli, w jakiej znalazła się Polska, stanie się dla niej obronnym pancerzem. Kto szlachetny, stanie przy nas z mieczem archanioła, kto nas opuszcza, ten jest podły i w uznaniu swej podłości z czasem najsroższą znajdzie karę.

Czy wolno podobnymi optymizmami znieczulać społeczeństwo?

J. KURNATOWSKI.

Elektryzacja wsi.

Oddawna zaciekawiała mnie sprawa zastosowania elektryczności do przemysłu. Nowa ta siła teoretycznie usuwa wszystkie ujemne strony parowej maszyny, a więc dym, kurz, konieczność skupienia warsztatów koło źródła energji. To też skorzystałem z pierwszej sposobności, aby zwiedzić kraj, gdzie elektryczność znalazła szerokie zastosowanie, a mianowicie Lugdun i jego okolice, oraz francuskie zbocza Alp od strony Szwajcarji i Włoch.

Jak wiadomo, siła elektryczna wówczas wypada niezmiernie tanio, bez porównania taniej, niż siła parowa, gdy do wytwarzania jej można użyć wodospadu; — przyczem wydospadem nie jest koniecznie jakaś Niagara, lecz każda rzeka o stromym spadku. Obliczono (Victor Camba — La France au travail), że gdyby można było zużyć do poruszania turbin wytwarzających elektryczność wody Rodanu, spadku 1200 metrów, otrzymanoby siłę pięciu i pół miljona koni parowych; t. j. więcej, niż można otrzymać przez spalenie całej *rocznej* produkcji węgla we Francji. Spadek z wysokości 1200 metrów nie jest niczym nadzwyczajnem w górach.

Rachunek ten daje pojęcie o niezmierzonych skarbach energji, jaką ukrywają rzeki i potoki górskie.

Jak wiadomo również, siła elektryczna daje się przenosić na odległość, można ją abonować w dowolnych ilościach, jak gaz.

Słowem przemysł przyszłości przeniesie się z zadymionych miast w góry, i w doliny.

Taki przemysł przyszłości już posiada Szwajcarja, Włochy i południowo-zachodnia Francja.

Parę kilometrów przed Lugdunem Rodan ma dość gwałtowny spadek. Tam zagrodzono mu drogę śluzami i część wód, skierowano w kanał, idący równolegle prawie do rzeki, na przestrzeniu 20 wiorst. U wylotu kanału woda spada z wysokości 14 tu metrów, wprawia w ruch turbiny, które z kolei poruszają dynamo maszyny, wytwarzając siłę 20,000 koni parowych, — poczem woda wraca sobie do Rodanu.

Koszt tej instalacji, wynosi 50 miljonów franków. Kapitał ten jest jednak sowicie oprocentowany, gdyż cała wytwórczość tej dziwnej fabryki jest zawsze stale zaabonowana. Po drutach rozchodzi się po Lugdunie i po kilku sąsiednich departamentach. Abonują ją drobni tkacze jedwabiu do swoich warsztatów, wielkie jasne wzorowo urządzone tkalnie, tokarnie, farbiarnie, fabryki przetworów chemicznych i t. d. Dzięki przenośnej sile elektrycznej sam Lugdun,

ciasno zabudowane mieścisko w dolinie, coś w rodzaju Łodzi, nie zacieśnia się już, gdyż ogniska pracy rozsiały się po całej okolicy, a wszystko razem ma czyste, wolne od dymów, powietrze.

„Biały węgiel“ (la houille blanche) nie bruka, choć — pracuje skuteczniej, niż czarny.

Nigdzie jednak wrażenie wielkiego fabrycznego miasta bez dymu nie jest silniejsze, niż w Grenobli. Widać ją całą jak na dłoni z miejskiego parku zawieszonego na skale, jak ciągnie się długą doliną pośród dwóch pasem gór: naprzód samo miasto — prześliczna szachownica szerokich zadrzewionych ulic, z domami ginącymi w zieleni, a potem w znacznych odległościach jedne od drugich czerwone nizkie budowle warczących fabryk, znów otoczone drzewami i ginące wraz z nimi w perspektywie doliny.

Oprócz elektrowni, wytwarzających siłę do wysyłania na odległość, bywają elektrownie na własny użytek. Im dalej jedzie się w góry od Grenobli ku granicy włoskiej, tym częściej widzi się fabryki, które dla siebie pochwyciły jakiś potok górski, zahamowały go śluzami, część wody zabrały mu w rury żelazne lub cementowe, które, jak olbrzymie węże spełzają z gór. Woda, doprowadzona rurami do fabryki, wprawia w ruch kolejno turbinę, dynamomaszynę, maszyny samej fabryki i wraca do łożyska rzeki, czysta, jak wyszła, aby niekiedy znów innej fabryce oddać tę samą przysługę. W ten sposób jedna i ta sama rzeka, zanim spadnie z góry w szczerą dolinę, porusza kilka fabryk, położonych w znacznych odległościach od siebie, a obok każdej takiej fabryki tworzy się górska wieś robotnicza, naturalnie rzęsiście oświetlona elektrycznością.

***

Zwiedzając te dziwne bezdymne fabryki z ich szumem wody i górskim tłem — byłem daleki od wrażenia okopconych ohydnych miast przemysłowych. Przychodziły mi na myśl nasze osady młynarskie z ich groblami i upustem. Ruskinowski estetyzm pracy zlewał się w harmonijną całość z cudami najwspółcześniejszej techniki i z motywami polskiej wsi. Mimowoli zacząłem sobie myśleć, wiele też miljonów koni parowych mógłby dać taki Dunajec, albo San i co za „zaczarowane koło“ cudów pracy powinno powstać naokół różnych wirchów i hal, gdzie ludzie, jeżeli nie umierają z głodu, to tylko dla tego, że niemiłosiernie wyzyskują warszawskich letników. A nasze góry Świętokrzyskie ze swoją Nidą? Kiedyś czytałem, że w dolinie Nidy panuje największa nędza, i niema żadnych zarobków. Taka Nida także musi mieć spadek. Czemuż jej nie przychwycono i nie kazano jej poruszać turbin, elektrowni, papierni, fabryk przetworów chemicznych i t. d.? Ludzie mieliby zarobek. Potem możnaby ich uczyć syndykalizmu, bodaj w oryginalnym sorelowskim wydaniu, ale naprzód trzeba Nidę złapać, kazać jej robić papier, azot, lub mleć zboże, w ten sposób dać zajęcie głodnemu i nieodzianemu chłopu polskiemu, — z e l e k t r y z o w a ć p o l s k ą w i e ś.

Miljony leżą odłogiem w polskim „białym węglu“ z Karpat i z gór Świętokrzyskich! I kto je podniesie: my sami, czy też przyjdą je wziąć Francuzi z Grenobli, Szwajcarzy z Lucerny lub Włosi z Medjolanu?

J. PAPINI.

Żebrak dusz.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Już na początku wieczora wydałem ostatnie pięć soldów, jakie mi zostawały, na kawę, nie sprowadziwszy na się tym nadużywanym napojem oczekiwanego natchnienia: natchnienia, którego potrzeba mi było natychmiast. W owych czasach marłem niemal stale głód, głód chleba i pieniędzy, nie mając nigdzie na świecie ani ojca ani brata. Redaktor pewnego pisma — człeczyna blady i milkliwy — przyjmował moje nowele, za każdą ofiarując mi po pięćdziesiąt lir, nigdy mniej nigdy więcej, jakakolwiek bywała wartość lub długość tego, com przynosił.

W owy wieczór styczniowy powietrze pełne było wichru i dzwonów rozkołysanych — wichru niespokojnego i rykliwego oraz dzwonów straszliwie jednostajnych. Wszedłem do wielkiej kawiarni (światło białe, twarze senne) i powoli opróżniałem filiżankę, usiłując w mózgu obudzić jakieś widmo przygód nadzwyczajnych, spiąć do skoku wyobraźnię, aby rzuciła się na jakąś historję, niby na zdobycz, która pozwoli mi znowu jakieś parę dni się przekołatać. Musiałem tegoż wieczoru napisać jakąś nowelę, którąbym zanieść mógł nazajutrz wiadomemu redaktorowi i sprzedać za wiadomą cenę. Z bolesnym przeto napięciem śledziłem biegu swych myśli, gotów chwycić za pierwszy pomysł, za pierwszą scenę, jaka się nawinie, by je natychmiast przelać na szereg białych kartek, już policzbowanych, które miałem przed sobą. Upłynęły w ten sposób cztery godziny i kwadrans na bezpłodnym i gorączkowym oczekiwaniu. Dusza moja była pusta, umysł bezwładny, myśl wlekła się znużona. Poniechałem wysiłku, zło-

żyłem na stoliku ostatnie grosze i wyszedłem. Ledwiem przekroczył próg, owładła mną myśl pewna, znienacka, — zdanie, które słyszałem wielekroć powtarzane, sam już nie pamiętam czyje: „Gdyby ktokolwiek, choćby człek pospolity, umiał opowiedzieć całe życie własne, stworzyłby jedno z największych arcydzieł, jakie zostały napisane“. W ciągu dziesięciu minut zdanie to napełniło i opanowało mój umysł, nie doprowadzając jednak do żadnych wniosków praktycznych. Dopiero, gdym był już koło domu, zatrzymałem się nagle, stawiąc sobie pytanie:

— Dlaczego nie miałbym tego zrobić? Dlaczego nie miałbym opowiedzieć czyjegoś życia, życia człowieka prawdziwego, pierwszego lepszego, który mi się nawinie przed oczy? Ja sam nie jestem człowiekiem zwykłym, a zresztą tylekroć już wypowiadałem siebie w nowelach, że nie potrafiłbym teraz rzec nic nowego. Muszę w tej chwili, natychmiast, wynaleźć kogokolwiek, osobę, której nie znam, osobę zwykłą, i zmusić ją, aby mi powiedziała, kim jest i co uczyniła. Nieodwołalnie na dzisiejszy wieczór potrzebne mi jest jedno życie ludzkie! Nie chcę nikogo prosić o jałmużnę w monecie, ale prosić będę i żądać uporczywie jałmużny w życiorysie!

Zamiar ten był tak prosty i wyjątkowy, że postanowiłem wykonać go niezwłocznie. Zawróciłem z miejsca i skierowałem się ku środkowi miasta, gdzie o tej późnej godzinie mogłem był jeszcze spotkać przechodniów. W nowej dla się i szczególnej roli żebraka, ruszyłem na poszukiwanie ofiary, którąbym mógł dla swego celu wyzyskać. Szedłem żwawo, patrząc przed siebie, przeszywając wzrokiem twarze przechodzących, starając się dobrze wybrać tego, który miał głód mój nasycić. Jak rabuś nocny lub rzezimieszek, stanąłem na czatach w cieniu ulicy, i jąłem oczekiwać, póki nie nadejdzie człowiek jakikolwiek, ktoś najzwyczajniejszy sobie, iżby zwrócić się doń z błaganiem o łaskę wyznania.

Pierwszego, który przeszedł pod latarnią— szedł sam, zdawał się być w sile wieku — nie chciałem zatrzymywać, ponieważ twarz jego, pocięta w dziwne bruzdy była nadto zajmująca, ja zaś pragnąłem przedsięwziąć doświadczenie w warunkach mniej pomyślnych. Przeszedł także młodzieniec, odziany płaszczem, wszelako włosy jego rozwichrzone i oczy jego, oczy urodzonego pochłaniacza haszyszu, wstrzymały mnie, gdyż przeczułem w nim marzyciela, fantastę, duszę niedość pospolitą i zwykłą. Trzeci, który przeszedł, stary i pozbawiony wszelkiego zarostu na twarzy, nucił sobie pod nosem jakiś motyw ludowy z tęsknej melodji hiszpańskiej która przypominała mu snadź dawne wyzłocone słońcem i miłością życie, życie bakchiczne, południowe. I ten nie odpowiadał memu zamiarowi, i tego nie zatrzymałem.

Sam już nie umiem dokładnie przypomnieć sobie wściekłości, jaka mnie wtenczas ogarnęła. Wyobraźcie sobie owego szczególnego zawalidrogę żebraka, zgłodniałego, wzburzonego, który czycha za węgłem na człowieka nieznajomego sobie, który chce wysłuchać opowieści życia, o którym nie wie, który pała żądzą rzucenia się na zdobycz niewiadomą. I jakby za sprawą niedorzecznego i złośliwego przypadku, ludzie, jacy przechodzą, nie są tymi, których on szuka, są ludźmi noszącymi w twarzy znamiona swej wyjątkowości i niepowszedniego życia. Ileżbym w owej chwili dał za jednego z owych nieprzeliczonych „panów dobrodziei“ o gębach czerwonych i spokojnych, jak gęby młodych warchlaków, którzy mnie bawili i doprowadzali do mdłości tyle razy!

Nie zbywało mi ani na uporze, ani na odwadze, w owych czasach, więc czekałem wciąż pod latarnią, której płomień od chwili do chwili pochylał się i znów rozbłyskiwał od podmuchów wiatru. Ulice były już puste o tej godzinie, wiatr przerzedził nocnych włóczęgów. Zaledwo tam i sam śpieszne kwapiły się cienie. Jeden z owych cieniów przeszedł wreszcie popod latarnią, przy której strażowałem: w okamgnieniu poznałem, że był dla mnie w sam raz. Nie był ani młody, ani stary; nie nazbyt piękny, i nie brzydki na twarzy, o oczach spokojnych, z wąsami starannie zakręconymi, w palcie dobrze utrzymanym.

Skoro tylko minął mnie o parę kroków, dogoniłem go i zatrzymałem. Nieznajomy cofnął się w przestrachu i wzniósł ręce, jakby ku obronie; natychmiast go uspokoiłem.

— Nie lękaj się pan niczego, — zwróciłem się doń w sposób jak najbardziej ujmujący — nie jestem ani zbójcą, ani złodziejem, ani nawet żebrakiem. A raczej, owszem, jestem żebrakiem, lecz nie proszę o pieniądze. Chcę prosić pana o jedną tylko rzecz, o rzecz która pana nic nie kosztuje: byś opowiedział, mi swe życie.

Nieznajomy otworzył oczy, jak szeroko, i znów cofnął się krokiem w tył. Spostrzegłem, że mnie miał za warjata, i dla tego ciągnąłem dalej z jak największym spokojem:

— Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze, nie jestem warjatem. Jestem tylko kimś podobnym, mianowicie — pisarzem. Muszę na jutro napisać nowelę, i nowela ta ocali mnie od głodu: chcę więc, byś mi pan powiedział, kim jesteś, i jakie było twe życie do chwili obecnej, abym go użył na temat do noweli. Jesteś mi pan bezwzględnie potrzebny; potrzebna mi jest

twoja spowiedź, twoje życie. Nie odmawiaj mi pan tej łaski, nie pozbawiaj pan człowieka nieszczęśliwego tej pomocy. Jesteś pan tym, którego szukałem: z tworzywa, którego mi dostarczysz, uczynię, być może, swoje arcydzieło!

Te słowa w nieznajomym obudziły wzruszenie: patrzył na mnie już bez strachu, ale raczej ze współczuciem.

— Skoro moje właśnie życie tak bardzo panu jest potrzebne — rzekł — nie mam nic przeciwko temu, aby je panu opowiedzieć, tym więcej, że jego dzieje są niezmiernie proste. Urodziłem się lat temu trzydzieści pięć, z rodziców zamożnych, uczciwych i dobrze myślących. Ojciec mój był urzędnikiem, matka moja miała maleńką rentę. Byłem jedynakiem: w siódmym roku oddano mnie do szkoły. W dwunastym roku skończyłem szkołę początkową; nie uczyłem się zbyt wiele, ani zbyt mało. W dwunastym roku wstąpiłem do gimnazjum, w dziewiętnastym — do uniwersytetu; w dwudziestym piątym — otrzymałem dyplom, ciągle bez składania dowodów nazbyt świetnej umysłowości, ale też i bez objawów nieuleczalnej głupoty. Gdym otrzymał dyplom, ojciec wystarał się dla mnie o posadę na kolei i przedstawił mi moją narzeczoną. Posada zajmuje mi osiem godzin dziennie i nie wymaga niczego więcej ponad odrobinę pamięci i cierpliwości. Co sześć lat pensja moja wzrasta automatycznie o dwieście lir. Wiem, że w 64 roku pobierać będę 3453 liry i 62 centymy. Narzeczona przypadła mi do gustu i zaślubiłem ją po roku. Nie było między nami żadnych niepotrzebnych czułostek. Odwiedzałem ją trzy razy w tygodniu, a dwa razy w ciągu roku — w dniu jej imienin i w dniu urodzin — ofiarowałem jej dwa upominki i dwa pocałunki. Mam od niej dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę. Chłopiec ma dziesięć lat i będzie inżynierem; dziewczynka ma lat dziewięć i będzie nauczycielką. Życie me płynie spokojnie, bez wstrząśnień i bez porywów. Wstaję codzień o ósmej, o dziewiątej zaś wieczorem chodzę do kawiarni, gdzie gada się o deszczu i o śniegu, o wojnie i o ministrach, w gronie czterech mych kolegów biurowych. A teraz, gdym zaspokoił już ciekawość pańską, pozwól mi pan odejść, ponieważ jest już dziesięć minut po zwykłej godzinie, o której wracać muszę do domu.

Wypowiedziawszy to wszystko z niezmąconym spokojem, człowiek ów ruszył się do odejścia, ja zaś przez chwilę stałem jak osłupiony zgrozą. To życie jednostajne, pospolite, prawidłowe, wyrachowane, odmierzone i puste przejęło mnie smutkiem tak ostrym, trwogą tak głęboką, że niemal chciało mi się wybuchnąć łzami i uciekać, jednakowoż powstrzymałem się jeszcze.

— Oto — rzekłem sam do siebie — ów słynny człowiek normalny i zdrów, którego imieniem surowi lekarze gardzą nami i potępiają nas, jako ludzi nienormalnych i zwyrodniałych! Oto ów człowiek wzorowy, człowiek-typ, prawdziwy czasów naszych bohater, drobne kółko w maszynie wielkiej, drobna cegła w wielkim murze, człowiek, który nie karmi się snami niezdrowymi lub szaloną fantazją. Człowiek ów, którego istnienie zdawało mi się niemożliwe, nierzeczywiste, urojone, stoi oto, tuż przedemną, lękliwy i straszny zarazem w nieświadomości swego bezbarwnego szczęścia.

Nieznajomy atoli nie czekał końca mych rozmyślań i już się oddalał. Zdruzgotany wrażeniami, ale niemniej przeto uparty, dopadłem go w kilku krokach i spytałem:

— Czy naprawdę niema nic więcej w pańskim życiu? Nie zdarzyło się panu nic więcej? Nikt nie chciał pana zabić? Żona nigdy pana nie zdradziła? Przełożeni nigdy pana nie prześladowali?

— Nic podobnego mi się nie zdarzyło — odrzekł z grzecznością nieco podrażnioną — nic z tego, co pan powiada. Życie me płynęło spokojnie, równo, prawidłowo, bez nadmiernych uciech, bez dużych przykrości, bez przygód...

— Bez żadnych przygód, pan mówisz — przerwałem mu — bez żadnych? Postaraj się pan dobrze sobie przypomnieć, przetrząśnij pamięć, nie chce mi się wierzyć, że nie zdarzyła się panu kiedykolwiek jakaś przygoda, żeby ani razu... Życie pańskie wtenczas, naprawdę, byłoby czymś nazbyt okropnym!

— Zaręczam panu, że żadnej przygody nie miałem, — odpowiedział Człowiek Pospolity, siląc się resztką woli na uprzejmość, — przynajmniej do dzisiejszego wieczoru. Spotkanie z panem, panie nowelisto, jest pierwszą moją przygodą. Skoro tak bardzo panu o nią chodzi, opowiedz-że ją sobie.

I, nie zostawiając mi czasu na odpowiedź, oddalił się, dotknąwszy zlekka kapelusza. Po jego odejściu przez kilka chwil jeszcze stałem nieruchomo na tym samym miejscu, jakby opętany zmorą rzeczy niawiarogodnej. Wróciłem nad ranem do domu — i nie napisałem noweli. Ale od owej nocy już śmiać się z ludzi pospolitych — nie mogę.

ROMAN ZRĘBOWICZ.

G. K. Chesterton.

III.

(Na marginesie „Delegata anarchistów").

Klasycznym, niemal Tycjanowskim, portretem ortodoksji Chestertona jest powieść: „Człowiek który był czwartkiem," wydana obecnie w doskonałym polskim przekładzie p. t. „Delegat anarchistów" — (Warszawa, nakł. F. Hoesicka 1914).

Książka ta, niewątpliwie jedna z najciekawszych we współczesnej beletrystyce europejskiej, ma dla polskich rozważań kulturalnych znaczenie pierwszorzędne. Jest szpadą rozradowaną zwycięstwem. I widzi ją czytelnik w ustawicznym boju, w starciach nie dających wytchnienia, lecz kropli krwi dostrzec na jej klindze nie może. Spływają z niej tylko potoki światła słonecznego — pobrzęk jej przypomina wiosenny świegot ptasząt.

Jest to szpada, walcząca o kraj ładu i porządku, o morze wiary, o namioty radości i otuchy dla spracowanych zastępów.

Miał ją w zębach dziki zmysł organizatorski Cromwella. Była w pewną noc miesięczną urągającym satelitą, gdy tonęła armada hiszpańska. Rozbrzmiewała surmą potęgi i rozkwitu w epoce elżbietańskiej. Kryła się pod La Rochelle w purpurowych fałdach kardynalskich szat Richelieugo. Nosił ją Jan Zamoyski i Stefan Batory.

Dziejowa, wspaniałomyślna szpada — walcząca, spracowana, radosna.

Szpada, dla której pochwy nikt z chcących żyć i zwyciężać nie ośmielił się wykonać. Szpada o stalowym błysku oczu, które nieustannie czuwają. Szpada jawy i rzeczywistości, nie znająca co sen, co odpoczynek w zawieszeniu nad łożem, co bezczynność sławy i dumy muzealnej.

Szczęsna, umiłowana szpada wykuta na kowadle narodowej energji, by bronić jej całości, walczyć o potęgowanie jej życia.

Takby ją określił przesadny, lubo szczery i zresztą słuszny patos polskiego pisarza. Ale płatnerz jej nie w takim ją tworzył stylu. Styl heroizmu anglo-saskiego geniusza przypomina lapidarny, pisany niemal szyfrą wzruszeń pamiętnik kapitana Skotta, konającego na biegunie. Takim jest ten styl w obliczu śmierci. Natomiast w pełni życia, w ujmowaniu jego najgłębszych, najbardziej zróżnicowanych zagadnień zbliża się do gwary Dickensowskich postaci. (Jakże pontyfikalnym wobec niego wydaje się styl Judymów, Sułkowskich i t. d.) Źródłem jego jest humor w tym najgłębszym znaczeniu, w jakim go ujął Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski". A więc humor, jako religijny stan duszy, niweczący obrzędowość, jako najskuteczniejsza szkoła, ucząca nas poprzestawać na naszej względności, zniewalająca po męsku patrzyć bez zmrużenia oczu w otaczające nas zewsząd przestworza relatywizmu. „Myśleć, czuć swoją względnością — jak pisze Brzozowski — nie przeinaczać jej, nie kłamać sobie — przezwyciężyć nałóg myślenia o sobie w kategorjach zamkniętych" — oto jej wychowawcza metoda. Humor, jako męski, spokojny, dojrzały stan uczuć, niweczący sentymentalizm, powstrzymujący od wszelkiego platonizowania życia, nigdy nie zamykający jego rwących potoków groblami majestatyczności i patosu — z takich oto pokładów moralno-uczuciowych rodzi się styl rasy anglosaskiej.

Jak daleka jest od niego nasza umysłowość, niech najlepszym dowodem będzie sam Brzozowski. Cały ten niewątpliwie najtęższy w „Legendzie" rozdział o „Humorze i Prawie" w literaturze angielskiej, będący mistrzowskim wprost wzorem analizy krytycznej, roi się od patetycznych określeń. U Brzozowskiego bije tylko zegar kosmiczny — powiedziałby Irzykowski w jednym ze swoich aforyzmów o czynie. „Brzozowski lubi straszyć" — mówi o nim współapologeta „Lemiesza i szpady". To też nie z innych powodów uważa Brzozowski styl Chestertona za wielką wadę tego pisarza (por. „Pamiętnik" str. 112).

Autor „Samego wśród ludzi" nie mógł się dostać do źródeł jego radości. Biblijny rytm „pląsających pagórków", z których Chesterton zbiera wzory dla Niedzieli -- symbolu swej ortodoksji, jest wprost dla Brzozowskiego niedostępny. Nie z optymizmu, rosnącego korzeniem w duszy, tworzył się świat polskiego pisarza, ale w przeciągu śmierci, podobnie jak u Wyspiańskiego, Żeromskiego i tylu, tylu innych.

Z naszych współczesnych jeden może Irzykowski, wpatrzony w samoistnie rodzące się formy życia bez idejowych doświadczeń przeszłości, (bez poezji romantycznej) — miał to szczęście, że nie potrzebował dopiero zwalczać w sobie porozbiorowych sentymentalizmów, lecz odrazu z najbrutalniejszą względem siebie karnością jął własne myśli wyrażać i rzucać ich krzepkie przekroje. W przeciwstawieniu do Brzozowskiego, Irzykowski nie rozumie poezji cierpienia przedmiotów, liryki rzeczywistości.

Niedziela z „Delegata anarchistów" w ucieczce, tak wzorowo przyspieszającej dojrzałość ścigających go anarchistów, ciska polskiemu Gogolowi karteczkę z napisem: „Słowo winno być różowe". A to jest właśnie barwa stylu Ches-

tertona, której Brzozowski nie znosi. Autor „Legendy", gdyby był radosny, używałby tylko szkarłatu, lub purpury. Różowy kolor wydaje mu się zbyt łatwem uproszczeniem życia.

Oczywiście, nie piszę tu o Brzozowskim, jako o intelektualnej jednostce. W rozważaniach nad Chestertonem, nad tą typową formacją myśli zachodniej — Brzozowski jest dla mnie wykładnikiem współczesnej umysłowości polskiej, i to tej najdojrzalszej, pragnącej iść pospołu z zdobywczą myślą Zachodu. Brzozowski, jak w Polsce nikt inny, znał jej tętno najlepiej, rozumiał ją doskonale, lecz nie miał jej w krwi swojej... Niewątpliwie, musiał na nią patrzyć jako na postulat kultury dla swego narodu, pragnął jej całym jestestwem, ale nie posiadał tej dojrzałości uczuciowej — prostej, spokojnej, a przedewszystkim niepatetycznej, w której wyraża się styl zupełnie przyswojonego, nie zaś intelektualnie choćby najgenialniej zrozumianego jakiegoś na świat poglądu. Dlatego Brzozowski nie mógł dostać się do źródeł optymizmu, nie zrozumiał znaczenia tej zdrowej krwi, która wspiera każdy akt woli Zachodu i czyni go właśnie dzięki temu optymizmowi płodnym i rodzajnym. Dlatego na jego przebogaty dorobek kulturalny patrzył, jak na potwora ociekającego posoką pracy i wysiłku. I bez przesady, gdyby Zachód swój skarbiec dziejowy stwarzał z takim przeraźliwym, nie mającym promyka radości, wysiłkiem, jak to Brzozowski przedstawia, uchodziłby dziś niewątpliwie za legendarną krainę męczeństwa.

Brzozowski, mimo wszystko, patrzył na świat, jak Syme początkowo na Niedzielę. Delegat anarchistów widział zrazu potworne, przerażające plecy Niedzieli, i wówczas zdawało mu się, że ma przed sobą „nie człowieka, ale bestję odzianą w ludzką szatę". Lecz później, gdy go ujrzał z przodu, w pełnym świetle, twarz jego wydała mu się obliczem „jakiegoś starego archanioła, wymierzającego sprawiedliwość słuszną na pobojowiskach heroicznej walki". Wtedy plecy stały się żartem, a ich właściciel podobny był do ojca bawiącego się z dziećmi w a-kuku.

„Wszystko oglądamy z tyłu — mówi Chesterton przez usta Syme'a — znamy tylko odwrotną stroną stronę świata, więc wszystko wydaje się okrutne. To oto — nie jest drzewo, ale tył drzewa, tamto nie jest obłok, ale grzbiet obłoku! Czy nie spostrzegliście, że wszystko do nas odwraca się tyłem i chowa przed nami twarz? Ach! gdybyśmy mogli zajść z tamtej strony i zobaczyć twarz".

Zasadniczym punktem widzenia ortodoksji Chestertona jest oglądanie tej twarzy, Brzozowski zaś nigdy jej nie widział. Symbolicznym znakiem ordoksji Chestertona może być opatrznościowe oko obramione trójkątem, patrzące na świat mądrze, trzeźwo i optymistycznie — myśl Brzozowskiego chciała być zawsze młotem godzącym w czarną, twardą noc („Płomienie").

Chesterton, pisząc o dowcipie i satyrze Whistlera, zauważył nader trafnie, że artysta ten nie posiadał prawdziwego uczucia szczęścia, a na dowód przytacza, że nie wypowiedział on nigdy absolutnego nonsensu. O Brzozowskim, przedrzeźniającym „zdziecinniałą Polskę Milusińskich" można to samo powiedzieć. Była to Swiftowska *„saeva indignatio"* — określiłby Chesterton dzieła polskiego pisarza — dla czytelnika stała się ona goryczą, ponieważ była nią i dla samego autora.

Chesterton i Brzozowski są przeciwnikami etyki naturalistycznej, twierdzą obaj, że szczęście jest niczem innem, jak tylko formą, u każdego człowieka przybierającą inne kształty, w jekiej wyraża się psychologiczny proces równowagi, zachodzącej między trością a jej wyzwoleniem. Ale jak różnie swą treść wyzwalali? Brzozowski wyzwalał ją w propagandzie bezsłonecznego wysiłku, Chesterton zaś radosną ortodoksją, przyspieszającą pląsem, dowcipem i swawolnością Niedzieli rozwój niedojrzałych treści reprezentowanych w „Delegacie" przez poszczególnych anarchistów. Wyzwalająca się u Chestertona treść z anarchizmu, przeżywanego w samotności, (który jest nieodłącznym warunkiem prawdziwego rozwoju), po długim śnie, pełnym bezcelowych buntów i rozterek, poczyna patrzyć na świat z biblijnym niemal zapytaniem: „Czemu pląsacie wzgórza wyniosłe?". Ten sam proces u Brzozowskingo kończy się taką wobec rzeczywistości postawą: „Jestem sam. Nie mam Boga. Stoję na wichrze sam wśród nocy. Nie proszę cię nocy, byś mi gwiazdami świeciła. Nie proszę cię wietrze, byś mi nie ośiepiał oczu. Nie proszę was kamienie, by w was biło serce. Sam jestem!!!".

Sam jestem — oto klęcznik Brzozowskiego, odprawiającego swe modły przed ołtarzem groźnej, okrutnej, pełnej najniebezpieczniejszych żywiołów — rzeczywistości. Po skończonych modłach Brzozowski głosił kazanie o wszechogarniającym znaczeniu dyscypliny. Jakże na tle tych jego słów, płonących jak żagiew w nocy rozpętanego przerażenia, wydaje się prostą i rzeczywistą myśl Kiplinga i Chestertona: „Dyscyplina nie jest wszystkim, ale we wszystkim".

Bezprzecznie, książka Chestertona p. t. „Delegat anarchistów" wskazuje jasno, że walczyć należy nie tylko szpadą dyscypliny, lecz także szpadą radości.

D-r Z. DASZYŃSKA-GOLIŃSKA.

Współczesna — ewolucja ludności.

III.

Leroy Beaulieu znaczną część swego dzieła poświęca przedstawieniu i krytyce teorji Maltusa, oraz jego poprzednikom i następcom. Wobec tego, że nawet w naszej literaturze paru autorów zajmowało się w latach ostatnich tą doktryną[1]), jest ona dostatecznie oświetlona. Podnieść jedynie należy za autorem, że teorja o przeludnieniu Francji, wypowiedziana na parę lat przed Maltusem przez Collot d'Herbois, posłużyła jako usprawiedliwienie masowych mordów wielkiej rewolucji francuskiej. Taine wspomina, że Bodot, Saint-André, Carrier, Antonelle i Guffroy oceniali na kilka milionów liczbę głów, które ściąć należało dla szczęścia Francji. Babeuf w dziełku wydanym w 1795 r., a zatym na trzy lata przed Maltusem, stawia projekt zgładzenia części Francuzów: wielkich właścicieli, a także i odłamu ubogiej ludności, ażeby umożliwić nowy podział dóbr. Według tych pisarzy, Francja powinnaby się zadowolić 5 miljonami mieszkańców. Tylko taką doktrynerska wiara wytłomaczyć może owe komitety „*du salut public*“, które setki obywateli wysyłały codziennie na ścięcie w imię zbawienia ojczyzny.

Doktryna Maltusa święciła tryumfy w pierwszej połowie XIX stulecia, a nawet aż do lat 70-ych. Rozrost ludności jest szybszy, niż w którymkolwiek z poprzednich stuleci, jakkolwiek w żadnym z krajów europejskich ludność ta nie podwaja się, jak przepowiadał pastor angielski w ciągu lat 25, a wszędzie wzrost zamożności wyprzedza ludność. Uczony francuski daje bardzo niedostateczny obraz warunków, które spowodowały jednocześnie wyższą stopę urodzeń i zmniejszenie śmiertelności. Podnosi przecież jeden ważny, a wielekroć zaniedbywany moment, a mianowicie zużytkowanie pracy dzieci po fabrykach.

Robotnik, zatrudniony w New Sanark, fabryce wzorowo urządzonej przez Owena, posyłał pięcioro swoich dzieci, starszych nad lat 10, do fabryki. Zarobek ich przynosił mu 972 franki rocznie.

Anglja długo była klasycznym krajem pracy dziecinnej. Dość przypomnieć, że pierwsza międzynarodowa konferencja dla ochrony robotniczej, zwołana przez Wilhelma II w początkowych latach jego panowania, rozbiła się o opór Anglji, która nie chciała się zgodzić na ustawodawczy zakaz pracy dzieci poniżej lat 10-iu. Perspektywa zużytkowania dzieci w pracy zarobkowej zwiększała liczbę urodzeń. Rozwój przemysłowy Anglji stoi niewątpliwie w przyczynowym związku z szybkością i stałością wzrostu jej ludności. Z drugiej strony da się stwierdzić liczbami, że każda ustawa, utrudniająca wprzęganie do pracy małoletnich robotników, odbijała się na obniżeniu cyfry urodzeń.

Stosunek i zależność wzrostu ludności od obfitości i potanienia zboża jest ogólnie znany. Wpływ urodzajów na liczbę urodzeń zaznacza się przecież tylko w tym okresie (do lat 70-ych z. st.), w którym zachód Europy żyje własnym zbożem. Wraz z importem zboża, a potym mięsa z Ameryki, Indji i Australji, zależność ta przestaje się uwydatniać.

Rok 1875 jest przełomowym dla stopy urodzeń, a w niektórych krajach i dla przyrostu ludności. I tak np. roczny przyrost ludności w Stanach Zjednoczonych Am. Pn. aż do r. 1860 przenosił stale 3%, dochodząc do 3.6. Od 1870 r. obniża się do 2% z ułamkiem, tylko w 1880 r. przy natężeniu najwyższem emigracji europejskiej, podnosi się do 3%, w 1900/1 roku spada do 2 i 2.1%.

W Europie powszechną obniżkę urodzeń wyprzedza Francja. Zjawisko to występuje w tym kraju od początku stulecia. Między rokiem 1806/15 liczono 31.3 noworodków na 1000 mieszkańców, w 1901/11 r. cyfra ta wynosi 20.2, spadając w 1911 r. do 18.7 na 1000 ludności. Równie wczesnym i stałym jest spadek liczby urodzeń na małżeństwo z (4.2 obniża się ona wciągu okresu do 2.3), a dziś największym życzeniem patryotów francuskich jest osiągnąć liczbą trojga dzieci na małżeństwo.

Za Francją idzie ludność wallońska (po francusku mówiąca) Belgji; obniża się stopa urodzeń w Szwajcarji, Szwecji, Hollandji, Angji, jakkolwiek cyfra urodzeń wszędzie jest wyższa niż we Francji. Połowa ósmego dziesiątka lat wieku ubiegłego jest dla tych wszystkich krajów przełomową. Lata ośmdziesiąte, dziewięćdziesiąte, a wreszcie pierwsze dziesięciolecie XX wieku czynią zjawisko ogólno-europejskiem. Zniżka stopy urodzeń jest dziś powszechą. Występuje ona w ostatnich 40 latach nawet w Niemczech, gdzie liczba noworodków spadła z 39 na 32 na każdy tysiąc mieszkańców, i gdzie przyrost ludności, podtrzymywany już przeważnie jest przez szybki spadek śmiertelności.

Przyczyną powyższego zjawiska nie jest bynajmniej degeneracja europejskiej ludności, bo oto Francuzi, których liczba w porównaniu z sąsiadami słabnie w szybkim tempie, przeniesieni do Kanady, są dziś 25 razy liczniejsi, niż przed

[1]) Dr. Adam Krzyżanowski: «Teorja Maltusa». Moje studjum w *Ekonomiście* w 1908 r.

laty 138. Kiedy w 1763 r. w Kanadzie skończyło się panowanie Francuzów, pozostała tam grupa koło 65 tysięcy, grupa aż dotąd etnicznie spoista, która rozrosła się do liczby 1649371 osób, mówiących po francusku w 1911 r.

Tymczasem pomimo warunków, które zdawałyby się sprzyjać silnej rozrodczości, liczba urodzeń w Stanach Zjednoczonych Ameryki Pn., oraz we wszystkich republikach australijskich słabnie i jest niższa, niż w Anglji.

Przyczyny tkwić muszą przeto gdzieindziej, w warunkach naszej cywilizacji: im silniej oddziaływa współczesne jej stadjum na ogół ludności, tym wyraźniej występuje świadome ograniczanie liczby urodzeń.

W sferze zjawisk które przywykliśmy uważać za wyraz niezmiennych instynktów, które regulować miały jedynie fizyologiczne właściwości człowieka, które według Maltusa otamować mógł jedynie głód, występek i nędza — wkradła się świadoma wola. A raczej wola ta prawdopodobnie działała zawsze, a rozrodczością ludzką rządziła wypadkowa różnorodnych dążności, tylko że w naszych czasach dążenia przezorności małżeńskiej, chęć życia indywidualnego, wzgląd na podtrzymanie raz przyjętej stopy życiowej nakazują większą ostrożność i rozwagę w dawaniu życia potomkom.

W rozdziale zatytułowanym „Cywilizacja i starzenie się narodów" Leroy Beaulieu powiada: „W chwili kiedy umysłowo i społecznie, przez rozwój dobrobytu, sztuk pięknych, przez podniesienie ogólnego poziomu (cywilizacji) narody zdają się osiągać najwyższy stopień udoskonalenia, kiedy położenie ich zdaje się być najświetniejszem, wykazują one zatrzymanie swojego rozrostu, a nawet cofają się przez ogólną obniżkę rozrodczości" (str. 180).

Istnieją dowody, że liczba urodzeń w starożytnej Grecji niedostateczna była w okresie najwyższego rozwoju jej kultury. Podobnie było w Rzymie za czasów cesarstwa, jak świadczy prawo wydane przez Augusta. Wzrastająca liczba cudzoziemców w rzymskich legionach, to dowód, że przyrost Rzymian był coraz słabszy. Zjawisko podobne występuje dziś we Francji i zagraża całej Europie.

To też zamiast dawnej teorji jakoby ludność miała stałą tendencję do rozmnażania się ponad środki utrzymania, L. B. stawia inną, którą wypowiadał już kilkakrotnie i na poparcie której przybywa mu coraz więcej danych. Przytaczam ją w dosłownym przekładzie:

„Prawdziwe prawo przyrostu ludności u narodów cywilizowanych zupełnie jest różne od zasady Maltusa. Wyraża się ono w *tendencji do obniżającej się rozrodczości*. Cywilizacja, doszedłszy do pewnego stopnia dobrobytu, idei i uczuć demokratycznych zmierza ku zatrzymaniu przyrostu ludności. Tylko stopniowe obniżanie stopy zgonów podtrzymać może przyrost, ale przychodzi wreszcie moment, w którym i ta obniżka staje się niedostateczna. Dla narodów cywilizowanych większe jest niebezpieczeństwo zmniejszającej się liczby urodzeń, niż przeludnienia świata" (str. 254).

Uczony nie chce przez to powiedzieć, aby cywilizacja musiała doprowadzać do wyludnienia, ale doprowadzać może, o czym świadczy przykład Francji. Wogóle zaś bogactwa rosną dużo szybciej, niż ludność, i to uważa za przyczynę zniżki cen w końcu XIX i w początkach XX wieku.

Zniżka ta ustąpiła jednak powszechnej drożyznie. L.-B. pominął, że nietylko liczba ludzi, ale przedewszystkim wzrost i powszechność ich potrzeb oddziaływują na ceny, zapomniał również o dobrze sobie wiądomym stosunku cen do produkcji metalów pieniężnych.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Artysta plastyczny, malarz *par exellence* inscenizował „Balladynę" w Teatrze Polskim, zatem nie artysta, posiadający w sobie skupienie nierozegranych jeszcze możliwości sonorycznych i plastycznych, nie poeta inscenizator lub wizyoner-inscenizator, noszący w sobie jeszcze oba plany sztuki *in potentia*, ale artysta sformułowany jednostronnie, odległy już od owego pnia pierwotnej wspólności, zatem poruszający się całokreślnie na drodze, która rozwinęła się niepodzielnie kosztem drugiej.

Język Słowackiego, muzyka Słowackiego jakby nie istniały dla Ruszczyca. W zgodzie ze sobą traktował polski malarz „Balladynę", jako kolejno zjawiające się i znikające żywe obrazy: nie troszczył się o instrumentację, wiążącą całość w wielkie Jedno. Ruszczyc tworzył swoje dekoracje z całym spokojem bez najmniejszego kontaktu z aktorem; obmyślał piękne okucia dla oddrzwi chaty wdowy; polichromował cynobrem i kobaltem belki tejże chaty; rozmyślał nad skrzynią z pnia obok ławy pod oknem, nad stylizacją fantastycznych zwierząt na balustradach, nad świecznikiem, będącym arcydziełem w swoim rodzaju, nad stołem z orłami *con forma solenne*, nad płaskorzeźbami arkad, nad strojami, w których złożył skarby inwencyi; zajmował się całym światem, zdumiewająco bogatych szczegółów, które widz za powtórnym i trzecim pobytem w teatrze, uczy się podziwiać — ale w całej tej pogoni za realizacją malarsko-plastyczną nie dotykał rozwiązań, które należą do *świata synestezyi ruch-muzyka*.

W „Balladynie" Teatru Polskiego mimika i dykcja chwaszczą się jak Bóg dał... Nikt nie zatroskał się, aby ujednostajnić ogród. Aktor,

zdany na siebie samego, wydobywał według swego widzimisię często światy najsprzeczniejsze z otoczeniem: kakofonja niebywała dla ucha i oka tryumfowała co chwila na scenie. Kto był na „Balladynie“, a posiada jako tako rozwinięte poczucie rytmu, przypomni sobie, jak cierpiały uszy, słysząc język Słowackiego po przez rozdzierający patos pustelnika, anormalnie wydęte sentymenty Filona, kałakuckie deklamowanie Goplany, cudackie podśpiewywanie Aliny, młynkowanie monotonne wdowy. Wykrzyknik „Jezus Marja“, w scenie zabójstwa został rozciągnięty przez Grabca na długie wołanie stróża nocnego, który oznajmia, że czuwa gdzieś blizko...

Jakby jednak jeszcze zamało było całego anarchizmu: zaprzepaszczania rytmów, fałszowania fraz, rozbijania się na arsach, topienia się w miarach długości tchu zachwyconego, jakby jeszcze za mało było tych wszystkich wykroczeń przeciw językowi twórcy „Króla Ducha“, Teatr Polski uważał za pożądane doczepić do przedstawienia operową muzykę, grającą sobie za sceną z rozbrajającą beztroską o samą akcję na scenie. Nie uważam się za kompetentnego oceniać „ilustrację muzyczną“ p. Opieńskiego z punktu harmonji, zatem jej walorów czysto muzykalnych, ale twierdzić mogę, że muzyka ta nie wyrastała wcale z eurytmii, złożonej u podstawy „Balladyny“. Pomiędzy muzyką za sceną, a wierszem i mimiką-ruchem na scenie panowała tak *krzycząca niezgoda*, że niewierzyliśmy, aby dziś w dobie tryumfów Dalcroza i Appia, podobnie cudaczna kakofonja mogła wzejść na wielkiej scenie w Warszawie.

W trzeciej odsłonie rozlegać się musi bardzo dyskretnie gra lutni; *echo do wtóru* Skierce... i to jest wszystko, czego żądać trzeba od muzyki w tej odsłonie. Muzyka niema prawa rozwijać tu samodzielnej dynamiki, nie może jakichś tematów wydzwaniać nagle za sceną (w dodatku tak hałaśliwie, że słów na scenie nie słychać); może ona być co najwyżej dyskretnym, *najbardziej dyskretnym* akompaniamentem dla gestów-słów na scenie, ale nigdy *hałasem za sceną* budzącym w umyśle widza wspomnienia o karuzelach swojskich odpustów.

Przejście do porządku nad muzyka Słowackiego pogrzebało „Balladynę“. Dzieło to bowiem na wskróś zrodzone jest jak tragedja grecka z ducha muzyki: każdą swoją cząstką jest i rozbrzmiewa muzyką.

W Goplanie i jej orszaku muzyka ta dochodzi do dytyrambowego zespołu: pulsuje ona całym przepychem synestezyjnych akordów i posiada w sobie klucz życiodajny — element rdzeniowy choreografiki trójki protagonistycznej: zatem Goplany — Balladyny i Grabca.

Ruszczyc nadał przez swoje stroje fałszywą interpretację orszakowi Goplany, zatem Skierce i Chochlikowi — zamiast oprzeć motywy strojów obu figur na elementach składowych samej Goplany (strój Goplany doskonale obmyślany mieści w sobie syntetycznie stalowy chłód wody i białą powiewność mgły) zaryelizował Skierkę, skalibanizował Chochlika. Skierka musi być powiewny i jasny, Chochlik bezsłońcowo zimny, ale także skrzydlaty; obie figury są pośrednikami między Goplaną, a dwoma wybitnie różniącymi się światami duchów (białych i czarnych).[1]) Reżyserja (M. Węgrzyn) starała się jak najjaskrawiej podkreślić Szekspira w „Balladynie“ (co jest absolutną krzywdą dla tego dzieła!), Ruszczyc przez zeszekszpirowanie orszaku Goplany persyflował Słowackiemu reminiscencje z Burzy; przez to resztę samodzielności odebrał utworowi i ułatwił — proszę pozwolić mi na to wyrażenie — stworzenie z „Balladyny“ *antologji Szekspira*.

Z całego zespołu grających aktorów, Goplana i jej orszak mają najtrudniejsze role. Cała troska inscenizatora i muzyka spoczywać winna była na nich.

Jeżeli *Wysocka* była arcydziełem sztuki jako Balladyna, jeżeli *z Józefem Węgrzynem*, tym genjalnym artystą o gibkości wprost fenomenalnej, *umiejącym się podporządkowywać a zarazem być sobą*, umiała czynić zawrotne loty w stylizacje wizyjne, to *Iza Kozłowska* jako Goplana była parodją Goplany.

Goplana wymaga niebywałego wprost poczucia rytmu: muzykalności twórczej w każdym geście i słowie. Język, którym mówi królowa Gopła i jej orszak, nie mają ustalonej miary zgłosek: język ten pulsuje, rozszerza się, skraca, zmienia śpiewne akcenty. Tego wszystkiego p. Kozłowska nie umiała czy nie mogła wyczuć. Zamiast bogatej choregraficznej mimiki wydobyła ze siebie jakąś nużącą i do ostatka monotonną gestykulację: wciąż jedno i to samo do znudzenia czyniła; deklamowała, rozprężając i sprężając ramiona tam i z powrotem, stosując jeden i ten sam szemat do kalejdoskopowo mieniącego się wiersza i treści tego wiersza. Sprzeczność między treścią a gestem doprowadzić mogły widza do rozpaczy. Pozwolę sobie podać jako przykład grę Goplany po zabójstwie Aliny, zatem przy końcu czwartej odsłony. Po wręczeniu Balladynie dzbana z malinami, wiersz Słowackiego w ustach Goplany staje się nagle 13-zgłoskowy (był 5-, 8- i 11-zgłosk.). Pośród podanych wierszy, jeden pośrodku jest krótszy; jest to wiersz: „Ta plama nie zejdzie z czoła.“ Odrazu widać, że wiersz ten musi być *rozciągnięty plastycznie przez gest*: podczas całego opowiadania mimika mogła być zaznaczona zaledwie, teraz musi nagle ujawnić wyraźny ruch, głęboki *choregraficzny akcent*. Goplana opowiada o Balladynie i o plamie krwawej na czole. Musi ona *powtórzyć gest*, który uczyniła Balladyna zaraz po zbrodni. Gest ten nabiera siły sztychu z punktu żywiołów natury, których personifikacją jest Goplana; zapisze on w wiecznej księdze niejako ów pierwszy gest zmazywania krwi na czole, zamieni go w realną rzecz: w plamę. Gest Goplany należy zatem do magji imitatywnej z punktu Balladyny, zaś magji sugestywnej z punktu Widza — *wyczarowanie plamy* musi *realizować się przez gest Goplany*. Co czyni w tej niezmiernie doniosłej chwili p. Kozłowska? Oddawszy dzban Alinie wyciąga nagle ręce do góry i trzyma te ręce, jakby szukała ratunku z nieba, potem nagle, w miejscu podanego wiersza, wypręża się cała,

[1]) Przy wyczarowaniu Grabca w wierzbę jest obecny tylko Skierka; przy wyczarowywaniu dzwonkowego króla (związanie zespołu czarnych i białych duchów) są obecni Skierka i Chochlik; podczas uczty na fujarce-berle trzymanym przez Grabca, gra sam Chochlik!

ręce te jeszcze bardziej prostując (sic!). Człowiek dębieje ze zdziwienia, widząc taką ilustrację do najgłębszej treści dytyrambu Słowackiego.

Ale nie tylko ruchy Goplany, także ruchy Skierki potrzebują głębokiego wyczucia eurytmii wyższej jeśli mają mieć jakikolwiek sens w „Balladynie". Obrazy które gestami czynić musi Skierka przed wejściem Goplany na scenę (odsłona druga) muszą synestezyjnie przypominać błysk promienia słońcowego, kołysanie się liści, rozwijający się żagiel, płynięcie mgły. To jest dziedzina pani Leo Roze, która powinna była brać udział w reżyserji „Balladyny". Skierka (Tatarkiewiczówna) wykonywał jakiś arabesk baletowy ni w pięć ni w dziewięć z treścią wewnętrzną. Najsubtelniejsze sceny przez pomysł zrobienia Chochlika (Starska) pełzającym Kalibanem zmieniły się na *cyrkowy misz masz. Karykaturowano świat fantastyczny Słowackiego!*

Wbrew logice i dynamice dzieła, w krzyczącej sprzeczności z treścią wewnętrzną *szekspiryzowano.* Wszystkie błędy płynęły zjednego i tego samego źródła: nieujęcia całości... niedobrania się do wewnętrznej tajemnicy dzieła... żerowano tylko na szczegółach zewnętrznych bez osiągnięcia Łaski tego spojrzenia, które nosi w sobie moc budującą.

„Balladyna" jako całość od początku do końca była jedną wielką parodją.

Odpowiedzi Redakcji.

Panu Stefanowiczowi. Pisze pan: «Że panowie.... i.... chcą mieć metresy i żydówki i nimi się publicznie chwalić, nikt im tego nie może bronić, ale żeby społeczeństwo polskie pozwoliło z siebie w ten sposób kpić, to nie do darowania. Na to nie potrzeba samorządu; bez samorządu możemy odpowiednio reagować i zabronić tym panom obniżania w ten sposób poziomu moralnego w teatrach polskich...» A dalej: «Czas już przestać być biernym, bierzmy przykład z innych narodów, upominajmy się o swoje prawa, nie dajmy się byle drabom wodzić za nos i oszukiwać, przestańmy spać, ziewać...» i t. d. Godzimy się z panem co do tego, iż oburzenie pańskie jest święte. Ale kogo bogowie zaszczycili tak świętym darem, ten powinien pod aktem oskarżenia, nadesłanym do użytku Redakcji, podać nietylko nazwisko, ale i imię i dokładny adres, a to na dowód, iż nie lęka się odpowiedzialności, iż gotów jest własną osobą, mieniem i powagą własną poprzeć zarzuty, przez siebie stawione bądź jednostkom, bądź instytucjom. Dopóki tej drobnej, ale drażliwej formalności nie uczyni Pan zadość, wszelkie skrypty Jego, choćby najświętszym płonące gniewem, uważać będziemy za strzały celne, owszem niekiedy bardzo celne, ale... puszczane zza płotu.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

CZEKOLADA DESEROWA



NAJZDROWSZA NAJSMACZNIEJSZA

E. WEDEL

W WARSZAWIE.

Dzieła Ignacego Radlińskiego

Przeszłość w Teraźniejszości, zbiór dociekań i rozważań społeczno-naukowych.

Historja nauki o człowieku.

Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów.

Apokryfy judaistyczno - chrześcijańskie: Księga wstępna do literatury apokryficznej w Polsce.

Apokryfy judaistyczno - chrześcijańskie w polskich przeróbkach.

Spinoza, rzecz historyczno-społeczna.

Dzieje jednego Boga.

Dzieje jednego z Synów Bożych.

Na przełomie dziejowym: początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego.

Dwa dokumenty ludzkości: dziesięcioro przykazań Bożych i deklaracja praw człowieka.

Katolicyzm, Modernizm i Myśl Wolna.

Jezus, Paweł, Spinoza. Cena rb. 3.

We wszystkich księgarniach.

Czem Jest Straż?

STRAŻ jest jedynem polskiem pismem w Ameryce, które broni szczerze i otwarcie ludu polskiego przed zachłannością wrogich narodowi naszemu dygnitarzy kościoła Rzymskiego.

STRAŻ wskazuje ludowi nowe drogi w tej walce i jedynie skuteczny sposób obrony przed naszą zgubą.

STRAŻ jest pismem ludowem, robotniczem i rozumny polski robotnik powinien to pismo czytać.

STRAŻ pisze to, czego żadne inne pismo nie pisze tak jasno, to jest **PRAWDĘ.**

Bracia Robotnicy Czytajcie i Rozszerzajcie Straż

STRAŻ

1002 Pittston Avenue. **SCRANTON, PA.**

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego

TOM I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

TOM II: Tragikomedja prawdy: On i ona. Z pamiętnika, Sam sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona, Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20.**

TOM III: Bajki, krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafte, Dwaj filozofowie, Dwa widma, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 k. 50.**

TOM IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

TOM V: Trylogja. Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aurelji Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VI: Antea, Na targu, Hia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VIII: Duchy, część 4, 5, 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.